

Piotr Andrejew

Filip Bajon

CZARNE SŁOŃCE

I

Warszawa 1955. Niezwykle spokojny obraz mieszkania; nastrój niezmienności, cisza. Duży pokój umeblowany starymi meblami, w głębi tykający zegar stojący, kredens z porcelaną, gruby dywan tłumi kroki. Do pokoju wbiega sześćioletni chłopiec, wyciąga spod koca na tapczanie kurtkę i latarkę, a potem szybko wybiega na korytarz. Korytarz ciemny, nie oświetlony; z korytarza wybiega na schody, które przeskakuje szybko po kilka stopni, potem już podwórko, brudne, nie zamiecione; na prowizorycznym trzepaku jakaś kobieta trzepie dywan.

Ze śmietnika zeskakuje trzech chłopców w wieku bohatera: sześć do ośmiu lat. Sylwek najwyższy, podgolony, uczesany na mokro do tyłu. Z tyłu głowy sterczy „kogut”, wyprężony, wymoczony pręt włosów. Elsner niższy, utykający konus — wiadomo już, że więcej nie urośnie, za to silny na lewą nogę. Edas najbardziej złośliwy, zawsze trochę z boku z nieodłącznym kluczem w rękę i pudełkiem zapalek. Właśnie naskrobał siarki i wystrzelił, w momencie, kiedy rachityczna trzepaczka upadła na dywan. Kobieta podskoczyła. Wybiegli na ulicę. Otworzył się obraz ruin; prawa strona ulicy zupełnie zniszczona, po lewej wisiały nawisy gruzu, ale poprzez wielkie otwory widać było powstającą nową dzielnicę. Za zakrętem stało kilka nie zniszczonych kamienic. Podeszli do jednej z nich i przystanęli. Wbiegli na podwórko i Edas zagwizdał. Spoglądali w górę, w stronę okien i krzyczeli: Hadzisiaj!! Hadzisiaj!!

Ale okno, w które się wpatrywali pozostawało nie zmienione. Sylwek wyciągnął z kieszeni „zośkę” i zaczął odbijać ją nogą. Gdzieś w tle, w bramie, jeździł metalowym kółkiem na długim drucie, mały pięcioletni chłopiec. On też podchwycił, ale ciszej: Hadzisiaj! Hadzisiaj! Zawołali raz jeszcze, wysoko zadzierając głowy. Cisza. Paweł wyciągnął z kieszeni mały kawałek ciemnego szkielka, i zaczął oglądać przez nie słońce.

Tego dnia wiał wielki wiatr. Był to największy wiatr, jaki wiał tego roku; również w latach następnych takie wiatry się nie zdarzały; tu pomiędzy ruinami tworzyły się zawirowania, trąby powietrzne, niespodziewane podmuchy. Z takiego podmuchu, który wyrzucił z bramy tłum kurzu wraz z liśćmi i papierami, wyszedł Hadzisiaj i stanął kilka kroków przed nimi. Zobaczyli go, kiedy opadł tuman. Hadzisiaj miał dwanaście lat i od razu można się było zorientować, że był tutaj przywódca. Na jego widok wyprężyli się

i zasalutowali. On niedbale kiwnął na nich ręką i podszedł do Pawła. Ten nadal trzymał zwinięte palce przy czapce. Hadziaj wyciągnął otwartą dłoń do Pawła. Paweł przestał salutować i oddał ze wstydem Hadziajowi, małe, czarne szkielko. Hadziaj rzucił na nie okiem, po czym kopnął nogą niczym „zośkę” i ruszył ku bramie. Bez słowa poszli za nim. Paweł zdążył jeszcze podnieść swój skarb.

Był najniższy spośród nich, najbardziej zadbany, przystrzyżony, w starannym ubranku. Hadziaj, Elsner, Eda i Sylwek mieli wygląd łobuzów — w ubraniach za małych i za dużych, posiniaczeni, z porozbijanymi kolananami. Hadziaj nosił już nawet długie spodnie, a na głowie miał olbrzymią, bikiniarską plerezę.

Szli teraz przez miasto, z rękoma w kieszeniach i z koszulami wyдутymi jak balony. Hadziaj przodem, energicznie, dalej Sylwek, Elsner i Edas, a na końcu najmłodszy, ledwo nadążający Paweł. Nagle podmuchy niosły ich wśród kurzu i pyłu zrywanego z ruin domów. Trawy i mlecze porastające ruiny kładły się nisko zachęcając do ominięcia drewnianych barier i tablic ostrzegających przed niebezpieczeństwem zaważenia. Wyczekali na moment, kiedy ulica była pusta. Odliczyli ruchomą deskę w płocie. Zaczynało się liczyć od tablicy z trupią czaszką i zakazem wstępu „Siedzi baba na cmentarzu, trzyma nogi w kałamarni, przyszedł duch, babę w brzuch, baba fik, a duch...” Na słowie „duch” Sylwek przestał pukać w deski i zrobił otwór w ogrodzeniu. Hadziaj wszedł pierwszy, potem reszta. Paweł jak zwykle na końcu, bardzo wystraszony, bo ulicą nadchodziła jakaś pani. Tak się śpieszył, że rozdarł sobie spodnie.

Weszli w ruiny. Czerwone domy miasta oddalały się, niknęły. Przed nimi majaczyła olbrzymia sylwetka bunkra, do którego zdążali. Kiedy podeszli. Hadziaj zdjął kurtkę i wdrapał się po załamach w murze, wybitych przez odłamki wybuchów na grzbiet bunkra. Nad nimi wisiały ciężkie żelazne drzwi. Zajrzał do wewnątrz, potem wszedł do bunkra po żelaznej drabince. Reszta czekała na dole. Widać było, że Hadziaj często tutaj przychodził. Po chwili wyszedł, stanął na krawędzi bunkra i kiwnął na chłopców. Paweł, Edas, Elsner i Sylwek wdrapali się grzbiet bunkra. Stali teraz blisko otworu. Hadziaj uśmiechnął się. Ten uśmiech mówił: „No to pokażcie, czy naprawdę chcieliście tu przyjść”. Za chwilę ponownie zniknął w czeluściach bunkra.

Był wtedy wielki wiatr i zerwał Pawłowi tramwajarkę. Teraz wiał im prosto w twarz, mieli kłopoty z podejściem do wjazdu. Tuman kurzu z pobliskich ruin uderzył ich i skulił. Paweł przecierał oczy, kiedy usłyszeli ten huk. Żelazne drzwi nagle runęły i przykryły trzystukilowym ciężarem wjazd. Chłopcy rzucili się, zaczęli się dobijać, kopać, ale odpowiadała im głucha cisza. W dalszym ciągu wiał taki wiatr, że niczego nie można było usłyszeć prócz jednostajnego świstu. Przecierali zaczerwienione oczy i usiłowali podważyć ciężar, który nie chciał się poruszyć. Przytykali ucho do zimnej stalowej płyty, nasłuchując znaku życia, po czym znowu uderzali w drzwi. Odpowiadał im tylko jednostajny świst wiatru.

Paweł zaczął płakać zrozpaczony. Elsner, Sylwek i Eda stali bezradnie. Nagle Elsner energicznie chwycił kurtkę Hadziaja, która leżała na ziemi, obok wjazdu i podał Sylwowskiemu. Ten wsadził ją pod pachę i wepchnął ręce do kieszeni.

Zeszli w ruiny szybko i zdecydowanie. Paweł na końcu ze łzami w oczach ale i z nadzieją. Elsner podniósł duży okrągły kamień. Owinęli nim kurtkę i wrzucili do studni w ruinach. Utonęła. Paweł przerażony zaczął krzyczeć

o pomoc. Wiatr jednak porywał jego słowa. Sylwek mocno chwycił Pawła z tyłu, zasłaniając mu usta. Eda i utykający na lewą nogę Elsner, wiedzieli co mają robić. Pociągnęli Pawła za ręce do zaimu w ruinach.

Po dłuższej chwili kiedy Paweł przestał się wrywać, Sylwek puścił go. Paweł już nie wołał, tylko oddychał ciężko, a z oczu leciały mu łzy. Pochnęli go z powrotem ku drabince bunkra.

Wdrapali się na bunkier, przyklekli na klapie, która zatrzasnęła się za Hadziajem. Wiatr szarpał im włosy i ubranie. Na niebie gołębie oświetlone przez ostre słońce jakby stały w powietrzu.

Chłopcy pochyleni ku sobie dokonali czynności magicznej. Nacięli sobie skórę na lewym przedramieniu, by gestem rytualnym podkreślić wagę tej chwili. Szepczą powtarzając za Sylwkiem słowa przysięgi: „...,nigdy, nigdy... nikomu, nikomu... o śmierci bohatera...” Wiatr zabiera większość słów przysięgi, zostawia tylko urywki, oddechy. Paweł powtarza najgłośniejszemu z mocno zacisniętymi oczyma — jakby nie chciał widzieć i słyszeć.

Nacinają skórę, dotykają rękoma tak, by krew się zmieszała, trzymając wyciągnięte ku słońcu ręce, czekają.

II

Pasłęka 1974. Kawałek dalej zaczynają się zabudowania stacji, ale tutaj jest zupełnie pusto, stoi tylko jeden wagon, ciężki wagon towarowy do przewożenia bydła, z rozsuwanymi drzwiami. Do wagonu prowadzą rozjechane ślady samochodu, teraz już pokruszone, niewyraźne w zeschniętym błocie. Gorąco, samo południe, pustynnie.

— W drzwiach dwudziestokilkuletni mężczyzna z papierosem w ustach. Odwraca się do wnętrza wagonu i rzuca papierosa w skłębioną kupę suchego siana, które zaczyna się powoli tlić, palić. Z kopącego siana wyskakuje drugi mężczyzna, który klnąc zrzuca z siebie palące żdźbła. Ten, który rzucił, śmieje się.

Na horyzoncie pojawiła się ciężarówka, która wnosząc tuman kurzu pędziła w ich stronę. Spod wagonu wyszedł trzeci mężczyzna, w wieku pozostałych, który schronił się tam przed słońcem i spał. Zgasił nogą tłącą się trawę i spojrzał na zbliżającą się ciężarówkę. Podjechała bliżej, przystanęła, a potem odwróciła się i zaczęła tyłem zajeżdżać do otwartych drzwi wagonu. Ten, który stał na ziemi wskoczył na platformę i czekał.

Dziesięć metrów przed nim ciężarówka zatrzymała się i z szoferki wysiadł młody człowiek, który stanął na stopniu wozu i dawał znaki kierowcy, aby zaczął podjeżdżać w tym kierunku. Wewnątrz ciężarówki zwierzęta uderzają łbami o burty samochodu. We wrotach wagonu staje trzech mężczyzn z dragami w ręku.

Paweł wisząc na stopniu przyglądał się z uwagą stojącym w drzwiach wagonu mężczyznom; najwyższy uczesany był gładko do tyłu, a kiedy się obracał, na potylicy śmiesznie kołysał się stojący sztywno kosmyk włosów. Drugi był niższy, konusowaty, niebywale rozrośnięty, kulał; trzeci miał twarz niebezpiecznego faceta, spod rozpiętej koszuli wychodził tatuaż: „Kocham ciebie” i serce za kratami. Był to tatuaż w stylu twarzy właściela. Paweł niespokojnie rozejrzał się. Mężczyźni przygotowywali się do rozprowadzania byków.

Ciężarówka powoli, tyłem zbliżyła się do wagonu i zasłoniła otwór. Wąskie snopy światła blikują na zamkniętych kłódkach, wiszących konturach,

na metalowej rozporze drzwi. Zwierzęta zaczęły walić rogami, rozpychać się, niepokoić. Czekala je przeprowadzka. Zaczynał się konwój.

Paweł stał i z zewnątrz wsłuchiwał się w narastający huk. Wewnątrz rozprowadzano byki. Kierowca wysiadł i stanął przed samochodem blisko Pawła. Z przyjemnością i znanstwem wsłuchiwał się w głucho dudnienie rogów zwierząt po ścianach wagonu. Kiwał głową, w myślach liczył zwierzęta. Często spłoszone byki ranily przeprowadzających je konwojentów. Tym razem było spokojnie. Nagle z nieprzyjemnym trzaskiem wyleciała deska w ścianie wagonu. Pokazał się róg, który natychmiast wycofał się z powrotem. Kierowca z aprobatą pomyślał o byku. Zaklął cicho.

— Jaki wynik? — spytał Pawła.

— Nasi wygrali — powiedział Paweł nadrabiając miną. Kierowca pokręcił głową.

— Jeden zero dla zwierząt — powiedział.

Paweł zaprzeczył z powątpiewaniem.

— Zobaczymy — powiedział kierowca.

Kiedy ustały dudnienia zrobiło się jakoś dziwnie cicho, tylko tarcie postronków było słychać, kierowca mrugnął i szybko wsiadł do szoferki. Odjechał na kilka metrów i zatrzymał się. Paweł zdenerwowany wpatrywał się w otwór wagonu.

W drzwiach stało tylko dwóch konwojentów. Byli zmęczeni i spoceni. Oddychali ciężko. Kierowca uśmiechnął się.

— Gdzie trzeci? — krzyknął.

Jeden z nich odwrócił się do wnętrza wagonu i krzyknął:

— Elsner!

Paweł drgnął.

Ze środka wyszedł kulejący mężczyzna nieproporcjonalnie zbudowany, olbrzymi korpus na krótkich nogach.

— Gdzie jest ten niedźwiedź, którego mam zgwałcić? — krzyknął. Paweł zrozumiał, że tego spotkania obawiał się całe życie.

III

Chłopięca dłoń delikatnie stara się usunąć wąski, poprzeczny strup krwi na przedramieniu. Paweł siedzi w długim obszernym korytarzu. Przed nim nerwowo spaceruje wysoki, elegancki mężczyzna z tenisowym garniturze, z kapeluszem w rękę — ojciec. Paweł też odświętnie ubrany — przylizane włosy z przedziałkiem, biała koszula, aksamitka pod szyją. Tylko na lewym przedramieniu prawie czarna pamiątka przysięgi. Paweł delikatnie odrywa kawałek skrzepu i rozcina bliznę. Chce usunąć ślad przysięgi. Ale już po chwili na ręce ukazuje się mała kropla krwi.

Ojciec zniecierpliwiony, daje znak chłopcu, by ten przestał. Wtedy otworzyły się drzwi i wyszedł z nich oficer w mundurze i wysokich butach. Przywitał się najpierw z ojcem, potem obaj podeszli do Pawła. Oficer podał im rękę.

Weszli do dużego pokoju, a tam ojciec wolno, trzymając Pawła za ramiona podsunął go ku lekko uchylonym drzwiom, które kołysały się jak gdyby ktoś przed chwilą przez nie przeszedł. Paweł nachylił się do drzwi i zobaczył przez nie dziesięciu chłopców siedzących osobno na krzesłach, a wśród nich Sylwka, Elsnera i Edasa. Ojciec przychylił głowę do syna. Paweł zaczął coś ojcu mówić na ucho. Ojciec wskazał delikatnie ręką oficerowi na Sylwka, Elsnera i Edę. Wszyscy trzej wyglądali jakby ich przed chwilą za-

brano z podwórka — zakurzeni, rozczochrani, o ogorzalych twarzach. Paweł wolno cofnął się w głąb pokoju, by mieć pewność, że nie jest przez nich widziany.

Oficer zamknął drzwi, podszedł w kierunku biurka i podał ojcu duży arkusz papieru do podpisu. Wszystko, podobnie jak poprzednio w scenie z dzieciństwa, odbywa się bez słów, jakby według ustalonego porządku. Słyszymy tylko kilka wyrwanych zdań rozmowy ojca z oficerem: „... w zabawie zabili kolegę...” i „... mój syn nie ma nic wspólnego z tym elementem...”

IV

Pasłęka 1974. Paweł leży wewnątrz wagonu, z dala od jasnego prostokąta wrót, głęboko schowany w cieniu.

Uformowany pociąg towarowy stoi na bocznicy. Lokomotywy jeszcze nie ma. Właśnie ostatnie wagony z górkii rozrządowej zjechały i podczepiono je do składu. Konwój byków zajmuje środkową część składu i składa się z piętnastu wagonów, wokół których kręci się kilku konwojentów. Sylwek, Elsner i Edas siedzą z boku na trawie i opalają się. Paweł schowany w swoim wagonie, przez otwarte drzwi, przygląda się kolegom z dzieciństwa. Bci się z nimi spotkać, więc kluczy i chowa się, a kiedy już musi wyjść z wagonu, czyni to niechętnie i z nikim nie rozmawia. Tamci nie zwracają na niego najmniejszej uwagi.

Od strony lokomotywy zbliża się kierownik pociągu z wykazem wagonów. Elsner, Sylwek i Edas podnieśli się ciężko i podeszli do sprawdzającego. Paweł słyszał, jak odpowiadali: — „ten mój” — „ten mój” — „ten mój”. Każdy z nich konwojował po jednym wagonie i kierownik zapisywał numer listu przewozowego. Paweł z niepokojem oczekiwał na kierownika w środku wagonu. Cała trójka wróciła z powrotem na trawę i gapila się bezmyślnie w jego stronę.

— Który? — spytał kierownik.

— Pierwszy, drugi, trzeci. Tam są listy, pod siatką. — Paweł odpowiedział ze środka wagonu, jakby bojąc się słońca.

— To przynieś pan. Ja naniosę rubryczkę.

— Wpiszesz pan, jak będziesz wracał.

— A po co mam wracać? Nie ma pan linijki?

— Nie mam. — Paweł zdezorientowany zaprzeczył.

W tym momencie poczuł, że będzie musiał wyjść z wagonu.

— No widzi pan. Niech pan przyniesie kwity...

Paweł niechętnie zeskoczył z platformy i poszedł w kierunku poprzedniego wagonu, potem wyciągnął kwit z wagonu, w którym garował i poszedł do trzeciego. Kiedy wrócił, stanął przy kolejarzu.

Sylwek obserwował Pawła. Nawet w tym bezmyślnym patrzeniu odbiło się zaniepokojenie ilością wagonów konwojowanych przez Pawła. Trącił Elsnera i Edę; wstali i podeszli do tamtych.

— Zobacz — powiedział Sylwek — trzy wagony prowadzi.

— Jak na takiego ciula, to o dwa za dużo — powiedział Elsner.

— O trzy — skwitował Eda.

Paweł udawał, że ich nie dostrzega. Wskazywał kolejarzowi odpowiednią rubrykę.

— Nie znamy cię. Jeździsz z przedsiębiorstwa? — zapytał Elsner.

— Nie — zaprzeczył Paweł.

— A czyje byki wozisz?

- Państwowe.
- To musisz jeździć z przedsiębiorstwa — stwierdził autorytatywnie Sylwek.
- To są byki z PGR-ów. Zarodowe — powiedział Paweł nie odwracając się. — Będą pokrywać włoskie krowy.
- Co on powiedział? — zdziwił się Elsner.
- Będą pokrywać — wybuchnął śmiechem Edas — słyszeliście, będą pokrywać. Niezły z niego alfons. Ile ci za to płacą?
- Osiem stów za jeden wagon.
- A za trzy?
- Pomóż sobie — powiedział Paweł cicho, wciąż stojąc tyłem jakby starając się ukryć twarz.
- No popatrz — zdziwił się Sylwek — zawsze mówiłem, że na kurestwie zarabia się najlepiej.

Wrócili na trawę i usiedli. Paweł na powrót wskoczył do wagonu i z ciemności spoglądał na rozbawioną trójkę. Więc jednak nie poznali go. Śmieli się i żartowali. Czuł, że to rozbawienie nie przyniesie mu nic dobrego.

Nie wiedział, że od strony lokomotywy nadchodzi z młotkiem w rękę kolejarz, który zatrzasakiwał wszystkie otwarte drzwi z napisem PRAGILE. Na wagonie Pawła też się taki napis znajdował, pozostałość po transporcie wyrobów huty szkła. Paweł tego nie wiedział, więc kiedy nagle zobaczył, że czarne drzwi na maleńkich kółeczkach zatraskują się z hukiem, nie zdążył nawet krzyknąć. Zerwał się i rzucił w stronę ciężkiego skobla, ale drzwi nie chciały ruszyć. Zaczął walić w drzwi, krzyżeć; stan hysterii, do jakiego się doprowadził, przypuszczając, że drzwi zatrzasnęły jego dawni koledzy, rozniósł się szeroko po okolicy. „Otwierać!!! Otwierać!!!” Głucho dudniły jego uderzenia o zatrzaśnięte drzwi.

Usłyszał, jak ktoś z drugiej strony manipuluje przy zamku i po chwili pojawiło się przed nim utracone światło. Drzwi z trzaskiem rozwarły się z powrotem.

- Co fragile to zamykam — tłumaczył się kolejarz z młotkiem.
 - Paweł zdenerwowany, roztrzęsiony nic nie potrafił powiedzieć.
 - Sam nie mogłem dać rady — mówił dalej kolejarz — koledzy pomogli.
 - Paweł ze strachem spojrział na Sylwka, Elsnera i Kundzia. Ci jednak go nie poznali. Interesowali się zardzewiałym mechanizmem zasuw. Po chwili Sylwek spojrział na Pawła i powiedział.
 - Znam gorsze drzwi.
- A Edas roześmiał się i powiedział:
- Na przeciąg najlepszy jest ślusarz.

V

Przez otwarte drzwi widać było uciekający krajobraz, z każdą chwilą ciemniejszy, zasnuty. Jeszcze na horyzoncie majaczyła poświata odchodzącego dnia. W środku wagonu Sylwek, Elsner, Edas i Paweł siedzieli naprzeciwko siebie i pili wino. Milczeli. Pawłowi to milczenie było na rękę: nie musiał się wypowiadać, nie musiał się zdradzać. Od dnia, kiedy złamał przysięgę, minęło kilkanaście lat. Musiał się bardzo zmienić. Jeśli go dotąd nie rozpoznali, mogą go w ogóle nie rozpoznać.

- Grasz w tysiąca — spytał nieoczekiwanie Elsner.
- Tak — odpowiedział zaskoczony Paweł — to znaczy nie.
- Dziwny gość — powiedział Edas — nie wie, co umie.

— Więc jak? Tak, czy nie? — zapytał Sylwek z niebezpiecznym odcieniem w głosie.

Przyglądali mu się uważnie. Nie wiedział, co powiedzieć. Bał się zdradzić jakimś fałszywym gestem, fałszywym słowem.

— Kiedyś grałem. Teraz, to nie wiem, czy umiem.

— Przypomnimy. Wszystko przypomnimy — powiedział Sylwek z naciskiem.

— Nie ma co przypominać — gwałtownie zareagował Paweł.

— A co, przypomnisz sobie sam?

— Kto rozdaje?

Sylwek i Elsner spojrzeli na siebie.

— Ty.

Sylwek wyciągnął z kieszeni zatłuszczone karty i podał Pawłowi.

— Rozdawaj.

Paweł niepewnie zaczął tasować karty.

Zrobiło się ciemno i zapalili świeczkę. Błąkający się płomień skąpo wydobywał z mroku twarze grających.

— Zgłaszam sto — powiedział Paweł — dama i król kierowy.

— Cofnij to koleś, dama żółędna jest sto, a czerwienka czterdzieści. Gdzie się uczyłeś tak grać?

— Przepraszam.

— Nie przepraszaj, tylko melduj. Chyba umiesz meldować?

— Melduję sto — powiedział Paweł zdenerwowany.

— Nie koleś, ja melduję sto, a ty czterdzieści.

— Melduję czterdzieści — powiedział Paweł.

— No widzisz — rozchmurzył się Sylwek. — Widzisz, że potrafisz.

Napięcie zelzało.

Pociąg stanął pod semaforem. Sylwek wysiadł i podbiegł do swego wagonu i wrócił z winem. Tymczasem Edas wyrwał marchew z pola na zakąskę. W wagonie został Elsner.

— Skąd jesteś? — spytał Pawła. Na to pytanie jednak Paweł był przygotowany.

— Z pegeerów — odpowiedział pewnie.

— Mieszkaś tam?

— Tak. Ojciec miał bardzo małe gospodarstwo, dwa hektary... — kłamał dalej Paweł.

— Ile?

— Półtora.

— Coś kręcisz koleś. Meldujesz czterdzieści, a mówisz sto, myślisz półtora, a mówisz dwa... to ile miał stary hektarów?

— Chyba jeden. Tak, miał jeden tylko hektar.

— Ale pewnie miał studnię? — zapytał ironicznie Elsner.

— Nic nie wiem o żadnej studni — wybuchnął Paweł.

Elsner spojrział na niego zdziwiony.

— Nie mieliśmy studni — powiedział Paweł spokojnie.

Wrócił Sylwek, pociąg ruszył, wskoczył Edas z naręczem marchwi.

— Co jest? — spytał Sylwek.

— Jego stary nie miał studni — powiedział Elsner.

— To czym leczył kaca? — spytał Edas.

— Mlekiem — strzelił Paweł. Czuł się trochę pewniej.

— O, to i krowę mieliście — powiedział z uznaniem Elsner.

Pociąg jechał przez zszarzały krajobraz.

Wino podziało na Pawła. Stał się rozmowniejszy. Oni słuchali.

— Długo jeździsz w konwoju? — spytał Sylwek.

— Nie. To znaczy względnie długo, okres, co ja mówię, półtora roku. Stary, ale numery. Siedziałem czterdzieści osiem godzin, tak prawie czterdzieści osiem godzin, były takie numery, że nie uwierzycie. Stary, wspaniałe sprawy. Powiedzmy, że wiozę świnie. Czterdzieści tuczników, nieważne gdzie, ale wiozę i po drodze pociąg staje, a ja potrzebuję szmalu, no, powiedzmy na wódę. Jedzie ze mną jeszcze jeden kizior...

— Kto? — zapytał Elsner.

— No...

— No?

— ...kizior ...

— No, patrz — powiedział Sylwek — kto by się spodziewał, że Kizior z nim pojedzie. Znasz Kiziora?

— Nie znam. — Paweł poczuł, że się zapędził za daleko w swoim kłamstwie.

— To dlaczego mówisz, że z tobą jechał?

— No, bo to był kizior... w ogóle...

— No popatrz Sylwek — zauważył Elsner — kizior w ogóle z nim jechał.

— Nie słyszałem — powiedział Sylwek.

— Ani ja. Opowiadaj dalej.

Paweł już mniej chętnie zabrał się do opowieści. Wiedział jednak, że musi ją skończyć.

— I te tuczniaki sprzedałem.

— Czterdzieści tuczników sprzedałeś?

— Nie. To było tak. Przychodzi chłop i mówi, że kupiłby tuczniaki. Trzy. Kolega go przyprowadził, mówią, że dobry interes. A ja się pytam, jak ja zdam czterdzieści tuczników, jeżeli będzie ich trzydzieści siedem. A chłop mówi, że ma odlewy gipsowe. To sprzedaliśmy trzy tuczniaki, wstawiliśmy trzy odlewy gipsowe w ciemny kął wagonu, przyszedli następni konwojenci, policzyli po grzbietach, wszystko się zgadzało... tak ich załatwiłem. Stary, niezły numer, co?

— Niezły — powiedział powoli Sylwek.

— Opowiem wam jeszcze parę takich. Śmieszne, że zeszczec się można.

— Dawno nie siusiałem — powiedział Sylwek.

— Idę zrobić pipi — krzyknął Edas i wyskoczył z jadącego pociągu na trawę. Zakryła go ciemność. Paweł nie wierzył oczom.

— Co się stało?

— Nie słyszałeś — uspokoił go Elsner — poszedł za potrzebą.

Edas po chwili dogonił pociąg, który powoli wchodził w zakręt i znalazł się z powrotem wśród kolegów.

— Kto rozdaje? — spytał niepewnie Paweł. Był już bardzo zmęczony tym udawaniem kogoś innego. Każde ich słowo przypominało mu wydarzenia sprzed lat. Usiłował mówić ich językiem, mówił „szczać”, „szmal”, „wódka”, „kizior” i nawet tym się ośmieszał. Sylwek, Eda i Elsner mówili jakoś inaczej — prosto i zwyczajnie. Czuł, że go nie szanują, że nie wierzą temu co mówi, że go lekceważą. Tak jakby przez te kilkanaście lat nic się nie zmieniło.

Elsner przestał tasować karty i oddał je Sylwkowi.

Paweł zauważył, że na ich rękach nie ma śladu po przysiędze na krew. Bezwiednie, nerwowo podrapał się w to miejsce na lewym przedramieniu. Sylwek rozdał pięć kart i spojrzął na Pawła.

- O co gramy?
- O... pół litra — powiedział niepewnie Paweł.
- A masz?
- Nie mam.
- To nie masz zagrywki.
- Kupię we Wrocławiu — powiedział Paweł.
- To ładnie, że kupisz. Ale do Wrocławia jeszcze daleko. Zagramy o twoje wagony.
- Dlaczego? — zaprotestował Paweł.
- Zaraz, zaraz, o co ci chodzi, przecież możesz wygrać — uspokoił Sylwek.

— Chyba nie mogę — jęknął Paweł. — Już wiem...
— No widzisz. Język masz długi, ale dopiero teraz mówisz jak człowiek. Ty sam wiesz, że masz o dwa wagony za dużo. To dobrze o tobie świadczy. że o tym wiesz. Taka wiedza ułatwia życie. Jeden wie tyle — pokazał Sylwek palcem ile — i jest mu dobrze, inny wie tyle — pokazał Sylwek ręką do ramienia — i źle śpi. A ty wiesz, że masz o dwa wagony za dużo. I to bardzo dobrze. Naprawdę bardzo dobrze. Masz szczęście.

Paweł przyglądał im się uważnie. Obserwował ich i widział te wszystkie rzeczy, które zdradzały ich wspólne dzieciństwo. Stojący kogut Sylwka. krótszą nogę Elsnera, cwaniactwo i brak instynktu bojaźni u Edy. I nagle zdenerwował się, że tak go chcą załatwić. I krzyknął:

- A właściwie dlaczego nie mogę wygrać?
- Bo nie umiesz meldować... kizior — powiedział Sylwek.

VI

Sylwek mocno naciągnął gumkę na palcach i wystrzelona szpilka trafiła Pawła w nogę. Paweł skulił się boleśnie, na milcząco. Był ubrany w ciemne ubranko, białe podkolanówki, za nim siedł ojciec w tweedowym ubraniu, z nieodłącznym kapeluszem w rękę, z drugiej strony matka w garsonce i butach na korku. Cała trójka była niezwykle poważna. Widać było, że opuszczają na zawsze miejsce, z którym byli mocno związani.

Sylwek, Elsner i Eda siedzieli wysoko, na dachu śmietnika i obserwowali przeprowadzkę rodziny Pawła. Meble, które stały teraz rozstawione na całej szerokości chodnika, sprawiały wrażenie nieco surrealne. Dwaj robotnicy ładowali je na ciężarówkę. Chłopcy patrzyli z góry na to widowisko. Sylwek zginał w ustach szpilki, Elsner i Eda żuli papier. W rękach mieli rurki do plucia. Czekali aż Paweł podejdzie bliżej — przy chodniku czekała na niego i rodziców szara pobieda.

Paweł spoglądał przestraszony na chłopców. Nikt się nie uśmiechał. Kiedy wystrzelili ponownie, złapał się za rękę i skrzywił. W tym momencie ciężka dwudrzwiowa szafa, którą dwaj robotnicy wstawiali na samochód ześlizgnęła się z platformy i runęła na bruk. Spłaszczyła się, rozwarła, opadły drzwi i z otwartego wnętrza wysypały się precjoza rodzinne, potoczyła się srebrna cukiernica, zakreśliła się i zatrzymała. Opadał kurz.

VII

Uderzenie o ziemię. Paweł ląduje w polu wyrzucony z pociągu. Ostatnie wagony towarowego pociągu nikną za zakrętem. Obudził się, ale nie bardzo rozumiał, co się stało. Coś mówił, jakby ciągle jeszcze przez sen: — Sylwek, Eda... wypadłem. — Wypadłem! — krzyknął za pociągiem, zrobił parę kroków, jakby chciał biec, ale zachwiał się na nogach i przystanął.

Dolny Śląsk. Bujna jesień, ciepło. Nie opodał leżał chlebak, dalej — kurtka. Sprawdził kieszenie. Zabrali wszystkie pieniądze i papiery. Zostawili tylko bilon i dcwód. Po kilku krokach natknął się na długopis. Zegarek diabli wzięli, cały potluczony. Spojrzał na słońce. Sądząc z położenia musiała być szósta. Na ostatniej stronie dowodu zapisał: 18.00 — pociąg nr 1452. Wydawało mu się, że było popołudnie. Stał i rozglądał się wokoło, nie rozumiejąc. Wyglądał jak zamroczony. Mrużył oczy. Nagle roześmiał się cicho.

— Wyrzucili. Jak śmieci. Wyrzucili. —

Stał chwiejąc się na nogach, z trudem zachowując równowagę.

Wokół było niezwykle pusto. Ruszył niepewnym krokiem w stronę kopca buraków. Kręciło mu się w głowie. Był oszołomiony upadkiem. Od czasu do czasu przysiadła i chował głowę między nogami. Wtedy łkał po cichu i mamrotał coś niezrozumiale. Potem się prostował i znowu slaniając się, ze łzami w oczach szedł naprzód. Delikatne bzykanie świerszczy wwiercało mu się w mózg, jak elektryczna piła.

Otaczały go gigantyczne nasypy z buraków cukrowych. Podeszedł do jednego z nich, znów spojrzał na słońce. Było wyżej, ale nie zwrócił na to uwagi. Widok samotnego słońca na rozjaśnionym niebie pochłonął go i uspokoił. Zachowywał się jak dziecko, któremu pokazano coś ciekawego, by przestało płakać.

Starał się iść w ten sposób, aby zawsze kawałek słonecznego kłębu wystawał ponad postrzępione wierzchołki kopców. W ten sposób zawędrował na chwiejącą się, drewnianą powierzchnię. Poczuł pod nogami niepewny, chwiejny grunt.

Podeszedł do stojącego wozu i złapał się za burte. Był pełen buraków cukrowych. Dotknął ich. Słońce było wyżej. Powoli przychodził do siebie.

— Niesamowite... — szepnął i wyjął dowód. „18.00” pociąg nr 1452”.

Rzeczywiście tak napisał. Dziwił się rzeczowości tego, co zrobił podświadomie. Powierzchnia pod stopami gwałtownie zadrgała. Przytrzymał się wozu. Dowód wypadł mu na drewnianą, pokrytą gliną powierzchnię i kiedy schylił się, usłyszał otwieranie okna. Ze stojącego nie opodał baraczku wychylił się starszy mężczyzna i przypatrywał się Pawłowi z uwagą.

— No i jak będzie? — krzyknął.

— Co ma być? — odpowiedział Paweł i schował dowód do kieszeni.

— Ja będę, cholera, płacił za siedemdziesiąt kilo? — zapytał.

Zszedł i ruszył w stronę mężczyzny. Waga zadrgała i ustaliła się na tysiącu pięciuset trzydziestu dwóch kilo. W głębi parterówki dojrzał siedzącego chłopca z batem.

— Panie — powiedział — to niesamowite. miałem kiedyś taki sen z wagą. Na jednej szalce był Hamlet, a po drugiej... Przerwał. Przyglądali mu się życzliwie, nic nie rozumiejąc.

— Przepraszam bardzo, która godzina? — zapytał.

— Wczesna — mruknął chłop z głębi parterówki.

Paweł jeszcze raz spojrział na potłuczony zegarek. Wskazywał za kilka minut piątą. Dopiero teraz zrozumiał, że to co brał za zmierzch jest świtem.

— Przepraszam. Myślałem, że mamy wieczór.

■ Szedł drogą. Pojawiają się liczne furmanki, wypełnione po brzegi bu-
rakami cukrowymi. Niektóre ciągnięte przez traktory, co potęguje dziw-
ność sceny. Do furmanek przyczepieni ludzie, po jednym do każdej. Przesu-
wają się wolno w ustalonym rytmie. Nie rozmawiają, nie krzyczą, cieszą
się chwilą, w której nie muszą pochylać się ku ziemi. Jadą godnie, w niesamowitym spokoju, niczym senne pomniki. Słońce wschodzi coraz wyżej.

PIOTR ANDRZEJEW
FILIP BAJON

Fragment niezrealizowanego scenariusza filmu fabularnego.
Piotr Andrejew & Filip Bajon, 1976r.